

Wojciech Pypno, Wojciech Nurkiewicz, Waldemar Różański

Urologiczny rejs

Dziennik pokładowy

Pomysł rejsu zrodził się jeszcze w lecie, ale załoga kompletowała się do niemal ostatniej chwili. Wreszcie 3 lutego, wczesnym rankiem spotykamy się na Okęciu: Wojtek Nurkiewicz, Waldek Różański i Wojtek Pypno z żonami – Anią, Ireną i Małgosią. Zima w pełnym rozkwicie, 22 stopni mrozu. Reporter z Radia ZET, widząc nasze niezbyt ciepłe okrycia, pyta, gdzie uciekamy. Jak to gdzie – na Karaiby! Czwarta para – Włodek Szepielow, neurolog ordynujący w Szkocji i Iwona wylecieli wcześniej, będą nas oczekiwali już na Martynice.

W Paryżu musimy przemieścić się z lotniska Charles de Gaulle na Orly. Mimo iż jest tylko minus 8 stopni, przenikliwy wiatr sprawia, że odczuwamy zimno bardziej niż w Warszawie. Waldek wie, jak temu zaradzić; dwa kieliszeczki pysznej nalewki wiśniowej zagryzanej kabanosem natychmiast poprawiają samopoczucie. Osiem godzin lotu i lądujemy na Martynice. Trzeba natychmiast zrzucić z siebie wszystko, co możliwe bez uchybienia obyczajności, bo tam wieczór i temperatura 28 stopni! I niesamowity księżyc prawie w pełni, wi-

szący dokładnie nad nami – w Polsce nigdy tak się nie ukazuje. Włodek już czeka, wynajętym samochodem jedziemy do Le Marine i docieramy do zacumowanego w porcie naszego jachtu. „Crystal” – 14,5 m po pokładzie, cztery dość wygodne zamykane kabiny, mesa z dwupalnikową kuchnią, dwie toalety – to nasz dom na dwa najbliższe tygodnie. I kapitan, a jednocześnie właściciel jachtu Michał Palczyński, młody, ale bardzo doświadczony żeglarz, z którym Wojtek N. i Włodek już wcześniej pływali. Instalujemy się, mała kolacja i pierwsza noc na jachcie. Nie ma problemów z różnicą czasową.

Dzień pierwszy

Rano zakupy. Trzeba zaopatrzyć się właściwie na cały rejs, bo – jak mówi kapitan – potem już nie bardzo jest gdzie, a i ceny są znacznie wyższe niż na Martynice. Ładujemy więc na jacht trzy wielkie wózki prowiantu, zostawiając w przyportowym markecie ponad 800 euro (wszak ciągle jesteśmy w Unii Europejskiej!). Krótka wy-





Załoga prawie w komplecie. Waldek robi zdjęcie

cieczka na miejscową plażę, pierwszy zachwyt krajobrazem i odpływamy. Niedaleko, więc na silniku, na południowy skraj wyspy, gdzie w pięknej scenerii, na kotwicowisku przeżywamy niesamowity zachód słońca wtaczającego się za morski horyzont z nieprawdopodobną szybkością. Wieczorem po raz pierwszy z rozkoszą smakujemy tutejszego rumu; zmieszany z sokiem z nie zawsze znanych nam owoców – wyborny. Smak w Polsce zupełnie nieosiągalny, do końca rejsu będziemy zatem dbać, by kończyć dni w podobny sposób.

Dzień drugi

Kapitan proponuje rodzinne wachty w kuchni, ale już od początku ustala się zwyczaj przygotowywania posiłków grupowo. Nikt się nie objaja, każdy robi to, co umie, w rezultacie śniadania i późne obiady smaczne i urozmaicone. Po pysznym śniadaniu opuszczamy Martynikę i kursem z wiatrem płynie na południe. Fala sięga 3 metrów, kiwa solidnie. Iwonka cierpi, Wojtek N. oddaje Neptunowi należną ofiarę, kobiety trochę się boją, ale humory dopisują. Włodek, który ma patent sternika morskiego, przy sterze, do końca rejsu będzie oczywiście prawą ręką kapitana. Po kilku godzinach dopływamy do wyspy St. Lucia. To samodzielne państwo, trzeba się więc odprawić, a także zaopatrzyć w dolary karaibskie, które będą obowiązującą walutą aż do powrotu na Martynikę. Stoimy na boi, na brzeg przepławiamy się pontonem lub wplaw, aby wykąpać się w cudownej scenerii. Woda słona niemiłosiernie, podczas pływania żabką wypycha biodra w górę, ale jej temperatura prawie taka, jak powietrza.

Dzień trzeci

Płyniemy w kierunku następnej wyspy, St. Vincent, która z Grenadynami tworzy kolejne odwiedzone przez nas państwo. Fala nieznacznie mniejsza, załoga już zaadaptowana, nikt nie choruje, co być może jest również zasługą Torecanu. W jakimś momencie po prawej burcie potężny pióropusz unoszącej się wody i szary wielki grzbiet wieloryba. Traktujemy to jako wyjątkowy prezent, bowiem kapitan pływający już dość długo po Morzu Karaibskim nigdy tu tego ssaka nie widział. Ale to jeszcze nie koniec atrakcji. Po niedługim czasie obok jachtu pojawia się stado delfinów i dają nam kilkunastominutowy najprawdziwszy spektakl. Wyskakują parami to przed dziobem, to z boku, to za rufą, nie dalej niż 50 metrów od nas i łaskawie pozwalają sfilnować ich loty nad falami. Dopływamy do zatoki, pięknej, ale mrocznej, w której kręcono liczne sceny filmu *Piraci z Karaibów* i gdzie znajduje się dość zgrzebne „muzeum” poświęcone temu wydarzeniu. Czarnoskóry tubylec, za odpowiednią opłatą, prowadzi nas do miejscowej restauracji, która wystrojem przypomina nasze GS-y z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Wokół dominujący zapach marihuany, którą palą wszyscy, łącznie z obsługą. Na zamówioną rybę czekamy dużo ponad godzinę, ale ku zaskoczeniu jest ona tak pyszna, że chętnie byśmy tu wrócili. Na zakończenie wieczoru chwila grozy. Ponton z czwórką naszych dzielnych żeglarzy wraz z kapitanem odchodzi od pomostu, ale zawodzi silnik (okazało się później, że uderzając o keję został uszkodzony) i ponton zaczyna dryfować w kierunku otwartego morza. Kapitan (chwała mu) skacze do wody, w błyskawicznym tempie wplaw dostaje się do jachtu i wraca z wiosłami. Nadal więc załoga pozostaje w komplecie.



Kapitan Michał

Dzień czwarty

Skok do wyspy Bequia. Słoneczną, piękną pogodę przerywają krótkotrwałe deszcze, po których rozkwitają cudowne tęcze. Spokojnie, można się opalać na deku, ale duży przechył jachtu wstrzymuje przed tym nasze kobiety – chyba się nieco boją. Waldek trochę boleśnie odczuwa już ostre promienie słońca. Na wyspie wędrujemy po małym, biednym miasteczku, w niepozornej knajpeczce znowu przyjemna niespodzianka – podana nam ryba (nazywają ją *king fish*) – absolutnie fenomenalna. Wieczorem naturalnie rum z sokiem. Kapitan opowiada nam, że jednym z załogantów poprzedniego rejsu był nasz kolega urolog, Grzesiek Pydziński. To niesamowite, nasze drogi przecięły się na takim maleńkim skrawku Morza Karaibskiego!

Dzień piąty

Cudowne jest takie morskie wędrowanie od wyspy do wyspy, tym bardziej, że coraz one piękniejsze. Po miłym żeglowaniu przed nami prześliczna Mustique. Wpływamy do zatoki, a kapitan uprzedza nas, że to wyspa prywatna, należąca do amerykańskich gwiazd filmu, estrady, sportu, m.in. Mika Jaggera. Żadnych zdjęć, bo niewidoczni ochroniarze mogą być nieprzyjemni. Dopływamy pontonem do brzegu i wspinamy się na górzyste zbocze. Zaczyna lać niemilosiernie, bez ostrzeżenia. Woda spada na nas jednolitą, ciepłą masą. Wysoko na zboczu, przemoczeni do tkanki podskórnej trafiamy do czegoś

w rodzaju baru. Pomimo remontu przyjmują nas niezwykle gościnnie, oferując po szklaneczce pysznego punch-rumu. Deszcz, jak nagle się rozpoczął, tak nagle ustąpił miejsca słońcu. Widok z tarasu na zatokę niewyobrażalnie piękny. Powoli schodzimy w dół, podziwiając wędrujące żółto-czarne, prawie półmetrowej długości żółwie lądowe. Pewnie wypelzły po deszczu, a teraz poruszają się zaskakująco szybko.

Dzień szósty

Niedługa droga przed nami, płyniemy na silniku, Waldek przy sterze. Małgosia odważa się wyjść na dek mimo dwumetrowej fali, opalamy się, słodkie lenistwo... Maleńka Palm Island wygląda jak kiczowaty landszajt; szeroka, piaszczysta plaża, pochylające się ku wodzie palmy, lazurowy błękit nieba i niesamowity kolor morza wprawiają w zachwyty. Ponton potężnie pchnięty przez falę przewraca Wojtka P., topiąc przy okazji telefon i aparat foto (dotychczasowe zdjęcia udało się na szczęście odzyskać). Kąpiemy się, spacerujemy, świat wydaje się całkowicie odrealniony.

Dzień siódmy

Łagodny wiatr, takąż fala i dopływamy do Tobago Cays. To cztery małe skaliste wyspy otoczone rafą koralową, tworzące Park Narodowy. Stajemy na kotwiczowisku w towarzystwie kilkunastu jachtów.

Hobby i pasje

Wojtek N., świetny pływak, odpływa wplaw nie bacząc na uwagę kapitana, że w tym miejscu jest bardzo silny prąd. „Nie mogę wrócić” – słyszymy, gdy od jachtu dzieli go około 70 metrów. Kapitan już wsiada do pontonu, ale Wojtkowi udaje się z prądem dopłynąć do brzegu, stamtąd go ściągamy. Obserwujemy z daleka kołyszących się na wątych łódeczkach na przeciwnym brzegu tubylców tkwiących przez kilka godzin w tym samym miejscu. Jeden z nich w końcu dopływa do nas, prezentując złowione właśnie homary. Wieczorem mają być przedmiotem naszej uczty kulinarnej. Tymczasem dostajemy się pontonem (fala zalewa nas doszczętnie) na sąsiednią wysepkę, do rafy. Wojtek N. i Włodek nurkują, obserwując występujące tu w wielkiej liczbie żółwie, reszta kąpie się i spaceruje po wyspie. Widok z góry zapierający dech, mieniający się niezliczoną ilością barw kolor morza, w gąszczu bujnej roślinności pozujące do zdjęć leniwe iguany. Czy coś równie bajecznego widzieliśmy kiedykolwiek? O zmierzchu przepławiamy się do brzegu. Krzątający się przy grillu tubylcy niedługo każą czekać na cudowne zakończenie dnia. Wielkie porcje homara z przepysznym ryżem, smażonymi bananami i warzywami, lampka czerwonego wina, sącząca się muzyka reggae... Jesteśmy w rajku!

Dzień ósmy

Rano podpływa do jachtu czarny mieszkaniec, prezentując złowioną właśnie, ponadpięciokilogramową doradę. Kupujemy ją, oczywiście. Rybak na naszych oczach błyskawicznie sprawnia rybę, dzieląc ją na zgrabne steki. Wieczorem nasze dziewczyny zaserwują wspaniałą kolację, tymczasem płyniemy do małej Sandy Island. Cudowna plaża,

pochylone nad wodą palmy, przybrzeżna kolorowa rafa, na zboczach piękne rezydencje. To znowu prywatna wyspa, spędzają na niej wolny czas bogaci Amerykanie. Podpływamy do niej pontonem, czarnoskórzy pracownicy grabią nieskazitelne trawniki. Możemy poruszać się wyłącznie po brzegu, kąpać się, ale nawet z nadmorskiego baru skorzystać już nie możemy. Wyjątkowo dużo pływania, bowiem przed zmrokiem, skacząc z jachtu, z rozkoszą pławimy się ponownie w ciepłej karaibskiej wodzie. Po wyjściu ciało pokryte jest słoną skorupą, ale mamy przecież na rufie prysznic z ciepłą wodą!

Dzień dziewiąty

Bardzo niedaleko znajduje się dużo większa wyspa Union. To najdalej na południe wysunięty punkt naszego rejsu. Płyniemy do niej na silniku, wcześniej znowu kupując świeżutkie ryby, tym razem oprócz nieco mniejszej dorady również tuńczyka. Niedaleko portu, przy samym brzegu – lotnisko. To tutaj przylatują turyści, przepławiając się potem stateczkami do Sandy Island. Zaopatrujemy się w słodką wodę, uzupełniamy zapasy żywności, głównie w owoce i warzywa oraz rum, gdyż niewiele więcej można dostać. Miasteczko biedne, mieszkańcy grupkami siedzą przed swoimi domostwami, w powietrzu wszechobecny zapach marihuany. Sennie. Wieczorem manewrujący w porcie prom niebezpiecznie, na odległość około 20 metrów zbliża się do burty naszego jachtu. Na pokładzie pewna nerwowość, ale prom szczęśliwie oddala się. Ryby znowu wyśmienite, niemal jednogłośnie przyznajemy jednak pierwszeństwo doradzie.



Płyniemy..



Po kąpeli w wulkanicznej wodzie Soufriere

Dzień dziesiąty

Zaczynamy powrót, co oznacza, że będziemy już do końca płynąć kursiem na wiatr. Dzisiaj bodaj najdłuższy „przełot”, płyniemy do St. Vincent. Przy dojściu pomagają nam, za niewielką opłatą, znany kapitanowi z poprzednich rejsów hebanowo czarny Alfonso. Potem cały dzień, drzemiąc w swojej łódce, kiwa się przy naszej cumie. Przy samym brzegu stoi jego dom: sklecona z desek i blachy buda o powierzchni nie większej niż 15 metrów kwadratowych, którą samotnie zamieszkuje. Na tej wyspie bieda najbardziej rzuca się w oczy, ale mieszkańcy życzliwi i uśmiechnięci. Wojtek P. z Alfonso dokonują wymiany handlowej – za paczkę papierosów dostajemy dwie (!) sztuki tutejszego przemysłu „tytoniowego”. Wieczorem je wypalimy (w dziewięć osób), doznając jedynie lekkiego zawrotu głowy. A może to jednak działanie rumu? Następnego dnia wyruszamy busikiem na zwiedzanie fascynującej wyspy. Na początek wulkan Soufriere. Dojeżdżamy do krateru i z przewodniczką schodzimy na jego dno. Na wielkiej, pofałdowanej powierzchni dziesiątki większych i mniejszych kłębow sinawego dymu, dojmujący zapach siarki. Brzegi krateru miejscami dzikie, skaliste, gdzie indziej porośnięte tropikalną roślinnością. Niesamowity krajobraz... Schodzimy niżej, do niewielkiego rozlewiska strumyka, którym płynie czarna, również lekko dymiąca woda. Obowiązkowa kąpiel, po której – według przewodniczki – będziemy młodszy o parę lat (biorąc pod uwagę średnią wieku męskiej części naszej załogi, to bardzo ekscytująca perspektywa). Wejście do wody trudne, temperatura bowiem 40 stopni, ale po chwili uczucie rozkoszne. Smarujemy się siarkowym błotem, przybierając wygląd upiórów. Po tej kąpeli jeszcze w Polsce trzeba

było szorować czarne obwódki za paznokciami. Powrót przez małe i biedne miasteczko. Kierowca zatrzymuje się co chwila, by zamienić kilka słów ze znajomymi, a zna oczywiście wszystkich. Grupka tubylców nad brzegiem morza, wśród nich bardzo młoda mama z przytulonym maleńkim dzieckiem, tańczy, choć nie słychać żadnej muzyki. Co za ruchy!

Dzień jedenasty

Wojtek P. przy sterze. Wiatr dochodzi do 25 węzłów. Kiwa mocno. Płyniemy do St. Lucia. Po drodze mija nas przepiękny, wielki dwumasztowy kecz, ale kapitan pociesza, że po odpowiednich przeliczeniach nasz dużo mniejszy ślup płynie bardziej efektywnie. Dopływamy do niezwykle malowniczej zatoki, położonej między dwoma strzelistymi szczytami. To strzegące wejścia Pitony. Przy brzegu luksusowy amerykański resort Jalousie, wysoko na stoku bieleje rząd tajemniczych budynków. W przewodniku znajdujemy informację o polecanej restauracji w pobliżu. Zamawiamy taksówkę, dość długo krętą drogą pniemy się, by dojechać do owych, widocznych z dołu budowli. Obserwowaliśmy już kilka pięknych zachodów słońca, ale ten wprawia nas w zachwyt. Czerwona tarcza słońca wtaczająca się za jeden z Pitonów, przebogate kolory nieba i morza, na dole zatoka z maleńkimi jak przecinki jachtami. Stoimy oszołomieni. A potem dalszy ciąg oszołomienia – ceny w luksusowej, jak się okazało, amerykańskiej restauracji Ladera. Przeżyliśmy je jednak, wraz ze smakowitą, choć niezbyt obfita kolacją, po której tańczymy całą naszą załogą z kilkoma czarnymi dziewczynami z obsługi, wzbudzając zdziwienie, a potem entuzjazm wśród sztywnych Ameryka-

nów. Wracamy z czekającym na nas kierowcą pełni wrażeń, szczęśliwi.

Dzień dwunasty

Rano z zaprzyjaźnionym już kierowcą ruszamy na dalsze zwiedzanie wyspy. Najpierw do położonego w dzikim zakątku, piętnastometrowego wodospadu, gdzie poddajemy się fantastycznej ablucji – tutaj, w przeciwieństwie do naszego jachtu, wody nie trzeba oszczędzać. Wracając musimy przejść przez wiszącą, długą, wąziutką i mocno rozchwianą kładkę. Ania ostatnia, pełnie i widać, że bardzo się boi. Za to po dotarciu do końca nagrodzona zostaje olbrzymią owocą grupy amerykańskich turystów. Stamtąd szalona jazda wąską, bardzo krętą drogą i jesteśmy w miejscowym ogrodzie botanicznym. Wszędzie na wyspach roślinność zachwyca, tutaj niebywałe nagromadzenie rozmaitych, przedziwnych czasem krzewów, drzew, mieniących się kolorami kwiatów wręcz przytłacza. A czarna woda w wijącym się strumieniu przypomina, że ciągle przebywamy w strefie wulkanicznej. Kierowca chyba nas polubił, bo w drodze powrotnej częstuje nas cudownymi owocami z własnego ogrodu.

Dzień trzynasty

Krótki przelot na północny kraniec wyspy. Cumujemy po raz dopiero trzeci w prawdziwej marinie. Wiele pustych zupełnie jachtów, najwyraźniej po prostu tutaj „parkują”. Mamy czas, zwiedzamy niewielkie miasteczko i robimy pamiątkowe zakupy, wszak to już koniec rejsu. Po raz pierwszy nie dopisuje pogoda, pochmurno, chłodno i co trochę pada. Po powrocie do portu – niemiła niespodzianka: Michał zamknął jacht na zatraskującej się kłódkę i dopiero wtedy zorientował się, że klucz pozostał w środku. Piłowanie kłódki beznadziejne, a dostępny telefonicznie jedyny w okolicy ślusarz oznajmił, że chętnie nam pomoże w poniedziałek (akurat był czwartek!). Ale przecież dla urologów nie ma rzeczy niemożliwych. Udało się

z zewnątrz otworzyć wąziutkie okienko, a Waldek przy pomocy bosaka i Wojtka P., stukając cierpliwie, przesunął klamkę większego luku, przez który można było wsunąć się do jednej z kajut.

Dzień czternasty

Rano obok nas cumuje jacht po dramatycznych przejściach; świadczą o tym złamany w połowie maszt i wyraźnie poobijany kadłub. To robi wrażenie... A my płyniemy już na Martynikę. Zatrzymujemy się na kilkadziesiąt minut w obszernej zatoce, gdzie zażywamy ostatniej kąpieli, a potem już do portu. Michał wykazuje się ogromnym kunsztem i dochodzi rufą do kei mając z każdej burty kilkadziesiąt centymetrów miejsca. Wieczorem ostatnia kolacja z rumem, otrzymujemy z rąk kapitana certyfikaty potwierdzające odbycie rejsu. Przepłynęliśmy podczas niego 285 Mm, odwiedzając trzy kraje. Michał, najlepszy kapitan na Karaibach, świetny młody chłopak, otrzymuje od nas reprodukcję starej mapy akwenu, przez który nas przeprowadził. Fantastyczny rejs, doborowa załoga. Dziękujemy sobie za cudowne, wspólnie przeżyte chwile.

Nazajutrz wyjeżdżamy na lotnisko. Po kolei wystawiamy brzuchy i podajemy sobie wzajemnie Fraksyparynę, co może wyglądać bardzo podejrzanie, ale na szczęście nie powoduje reakcji ochrony i szczególnie głębowej penetracji bagażu. Lecimy w nocy, na zewnątrz burza i kołysanie znacznie mniej przyjemne niż kilkanaście godzin temu. Krótka przerwa w Paryżu i lądujemy na Okęciu. Zimno, pochmurno, trochę smutno, ale przecież wiemy na pewno: przeżyliśmy niezapomnianą przygodę, nasyciliśmy się pięknem w najczystszej postaci, pogłęбилиśmy przyjaźń. Do zobaczenia – może na kolejnym rejsie za rok?! ■

Wojciech Pypno
Wojciech Nurkiewicz
Waldemar Różański